

Świętowanie na gruzach stoczni

Nie ma końca „ochom” i „achom” w związku z 5. rocznicą wejścia Polski do Unii Europejskiej. Rocznicowe imprezy z unijnymi gwiazdkami w tle potęguje rozkręcająca się coraz bardziej kampania do Parlamentu Europejskiego. Odnosi się wrażenie, że kandydatów jest więcej niż potencjalnych głosujących, tak pełno ich wszędzie w mediach, a tak małe towarzyszy tym wyborom zainteresowanie „zwykłych” ludzi. Prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu wyrwało się nawet, że Unia Europejska jest jak piękna róża, na co zareagowała eurokandydatka Róża Thun, znana z organizowania licznych manifestacji i pochodów „ku czci” Unii Europejskiej, która słowa „piękna róża” wzięła do siebie. Szybka korekta prezydenta i przypomnienie o kolcach, jako drugiej stronie każdej pięknej róży, zakończyło sprawę kwiecistych metafor. Poza tym jednym przypomnieniem, że Unia ma też kolce, nie odnotowano większej krytyki pod adresem Brukseli.

Od 5 lat zalewa nas ta sama nieobiektywna fala zachwytów nad dokonaniem Polski w Unii Europejskiej. Przy każdej okazji słyszymy, ile Polska „otrzymała” z Brukseli, co zostało wybudowane z pieniędzy Unii, nigdy nie mówi się zaś, ile sama wpłaciła, ile trzeba było uzbierać własnego wkładu. A już nigdy nie dowiemy się, czy bylibyśmy w stanie sami bez Unii cokolwiek budować i tworzyć. Czy Polska bez Unii Europejskiej stałaby w miejscu? Przecież nadal płacimy wysokie podatki

państwu, które ma konkretne obowiązki w stosunku do swoich obywateli.

Jest tak samo jak pięć lat temu, gdy o Unii dobrze wypowiadała się, zresztą za pieniądze Brukseli, tylko jedna, entuzjastycznie nastawiona strona. Dla eurosceptyków, nie mówiąc o przeciwnikach Unii, nie było miejsca w publicznej debacie. Dziś, podobnie jak w 2004 roku, krytyczne głosy na temat Unii Europejskiej należą do rzadkości. Na konferencji prasowej polskiego oddziału partii Libertas jej organizatorzy gorąco zapewniali, że nie są przeciwnikami Brukseli, a tym, którzy robią z nich partię wrogo nastawioną do europejskiej integracji, sam Ganley zagroził sądem. Mimo tej groźby prounijne salony są i będą zdegrustowane Libertasem, a obecność Wałęsy na zjeździe tej partii w Rzymie oceniana jest niezwykle surowo. Nie pierwszy raz Wałęsa kpi sobie z salonu, który chciałby mieć go skrojonego na swój gust i tylko dla siebie, szczególnie jako młot na Kaczyńskich, prawicę narodową i katolicką. Tymczasem motywy decyzji Wałęsy były prozaiczne: kasa i potrzeba zakupienia garnituru i skarpetek.

Skoro zatem Unia nie ma przeciwników, trudno się dziwić, że nie ma rzeczowej dyskusji ukazującej bilans pierwszych lat obecności Polski w strukturach unijnych. A bilans to nie tylko aktywa, ale i pasywa, czyli straty i porażki. Nie wiemy nic o kosztach, jakie poniosła Polska w związku z członkowstwem w Unii. Nie mówi się też ani słowa o korzyściach, jakie przypadły starym państwom UE z faktu wejścia do wspólnoty

prawie 40-milionowego chłonnego polskiego rynku nabywców. Pomija się też bilans polskiego uczestnictwa w europejskim rynku pracy. Czy dla Polski lepiej jest, jak jej młodzi, najbardziej prężni obywatele pracują i płacą podatki za granicą, czy gdyby stworzono im warunki do pozostania w Polsce. Kto przeprowadzi taki bilans, biorąc także pod uwagę sytuację polskich rozdzielonych rodzin.

O UE albo można mówić dobrze, albo wcale. To jeszcze jeden dowód na to, że ta organizacja to przede wszystkim projekt polityczny nowych etatystycznych elit europejskich o socjalistycznym, lewicowym, a nawet lewackim rodowodzie i takich samych przekonaniach. Projekt ten możliwy jest do zrealizowania tylko przy aktywnym wsparciu podobnych lokalnych elit rządzących, w zasadzie obojętnych i biernych na los własnego państwa narodowego i swoich obywateli, utrzymujących, że dla Polski nie ma i nie było żadnej alternatywy. Jak za komuny, gdy nasz kraj musiał akceptować socjalistyczny podział pracy, rozliczenia w rublach transferowych, nieopłacalną produkcję statków dla ZSRR i polityczne interesy towarzyszy w Moskwie. Dla większości tych ludzi, tak wtedy, jak i dzisiaj nie było alternatywy. Unię Europejską trzeba akceptować taką, jaka jest, a polecenia komisarzy wykonywać, bo mogą nas dotknąć finansowe sankcje. Te sankcje to doskonały argument dla rodzimych eurobiurokratów, by nic nie robić, a już szczególnie w tych dziedzinach, które Unia zagospodarowała swoimi przepisami. Unia decyduje nie tylko o tym, ile można

łowić dorsza w Bałtyku, ale ile go w danej chwili jest. Unia zdecydowała, o ile niższe od zwyczajowych były dopłaty dla polskich rolników. Wkrótce postanowi, ile limitów emisji CO2 przypadnie do kupienia Polsce. Od Unii zależą cła i podatki oraz to, od kiedy będziemy się „modyfikować” dzięki żywności modyfikowanej genetycznie.

Bardzo przygnębiające jest to, że dla polskiego rządu sprawa oprawy i znaczenia międzynarodowej imprezy przy bramie Stoczni Gdańskiej w rocznicę wyborów 4 czerwca 1989 roku okazuje się ważniejsza od utrzymania polskich stoczni. Pod tym względem panuje całkowita zgoda między rządem Donalda Tuska a Brukselą. I tak przy pomocy UE i rządu wywodzącego się z „Solidarności” Polska zrealizowała wreszcie postulat Mieczysława Rakowskiego o likwidacji Stoczni Gdańskiej.

Wojciech Reszczyński

„Nasz Dziennik” 07.05.09